

Dla Piotrka...

Było piękne lato, lipiec, pamiętasz? Przyjechałeś do mnie na kilka tygodni – trzy lub cztery. Do mojego letniego domu. Miałeś duży plecak, a w nim wszystko, co siedemnastoletni chłopak powinien mieć.

Byłeś wysoki, lecz dosyć szczupły – mogłeś bez dwóch zdań podobać się dziewczynom.

Wtedy po raz pierwszy w życiu jadłem smażone krewetki. To dzięki tobie, stary, poznałem ich smak. Wiele rozmawialiśmy o życiu, o szkole, o przyszłości. Wokół szumiał nam przyjazny las i wiał przyjemny wiatr od jeziora...

Byliśmy w domu sami – tylko ty i ja – nasi rodzice byli wtedy daleko, zajęci swoimi sprawami, wierzący, że można nam ufać mimo tak młodego wieku.

Wieczorem, kiedy spadały gwiazdy, wypowiadaliśmy w duchu nasze najskrytsze życzenia. Ile z nich się spełniło? Czy dziś warto o nich pamiętać?

Wtedy to było dla nas ważne, jak każdy rodzaj magii, która może pomóc.

W tamtym czasie nie wiedzieliśmy jeszcze nic o życiu i wierzyliśmy, że świat nam ulegnie, że jeśli się czegoś bardzo pragnie, to w końcu się to ma.

Jakże mało wiedzieliśmy... Nie wystarczy chcieć – kto to wtedy wiedział?

Mając siedemnaście lat chcieliśmy myśleć jak dorośli, my tylko z wyglądu już nie dzieci.

Znaliśmy sławnych pisarzy i filozofów, modnych aktorów i aktorki.

Nasza wiedza o pozorach świata była imponująca i bynajmniej nie powierzchowna.

Inteligencji nie nabyliśmy po drodze w sposób niedwuznacznie nieprzypadkowy.

Wiedzieliśmy, że ogień parzy, a woda chłodzi – w teorii radziliśmy sobie całkiem nieźle. Znaliśmy setki dat, wzorów matematycznych i poznaliśmy nawet łacinę, język starożytnych, który nam wpajano bezsensownie, zapominając po drodze dodać, iż do niczego nam się nigdy nie przyda.

Alea iacta est...

Czyż nie jest prawdą, co niegdyś rzekł Juliusz Cezar? Czyż nie jest to faktem już w chwili narodzin? Bo to, co nastąpi potem, tylko nas zaskoczy, tylko nam będzie niespodzianką. Ta nieświadomość to nasze życie od początku po jego kres – wieczna zabawa w trzy karty...

Pamiętasz?

Graliśmy w pokera jak mistrzowie, jak najlepsi z najlepszych, opanowani i blefujący.

Mając jedną, marną parę dziewiątek do końca robiłem dobrą minę.

To była gra – małe udawanie, przeciąganie liny na niby.

Przy stoliku, co stał wśród świerków i był naszym letnim kasynem.

Znaliśmy się od zawsze, mieszkaliśmy na tej samej ulicy, chodziliśmy do tej samej klasy. Potem poszedłeś do liceum męskiego, które miało opinię okrutnej, staromodnej mordowni. Ja wybrałem łatwiejszą drogę, powiesz, mniej ambitną.

Może...

Zawsze lubiłem nieskomplikowane przyjemności i zwycięstwa, co przychodzą bez wysiłku. Mówiłeś mi, że mi zazdrościsz, bo sam jesteś niewolnikiem swych dusznych ambicji. Ale o czymś zapomniałeś. Nie

zastanowiłeś się nad czymś do końca.

Przecież każdy z nas mógł mieć całkiem inną definicję ambicji, czyż nie?

Nie potępiąłem cię nigdy – dobrze o tym wiedziałeś.

Tobie imponowało to, czym wówczas byłem – życie bez trosk i emanujące prostym „carpe diem”. Przeciwnieństwa się przyciągają i stanowią dla siebie nawzajem niezwykle atrakcję. Jednak na tym się kończyło. Nie miałaś odwagi, by czasem poczuć smak ryzyka.

Było ci to obce, niezrozumiałe i mocno cię przerażało swą nieprzewidywalnością – absolutny abstrakt, jak rozmowa o klimacie na jakiejś nieznanej planecie, gdzie ziemia jest czerwonego koloru i zamiast powietrza istnieje jakaś bliżej niesprecyzowana mieszanina gazów.

Dla mnie prowokowanie losu było chlebem powszednim i powietrzem, którym oddychałem. Zawsze tak było, jest i zapewne pozostanie aż do chwili, gdy zamknę oczy na wieki.

Wtedy, w lipcu, byliśmy tacy młodzi, tacy radośnie cieszący się drobiazgami.

Dobrze nam było, gdy świeciło słońce, dobrze, gdy padał deszcz.

Pamiętasz?

Wypłynęliśmy kiedyś na jezioro i złapała nas straszna burza z piorunami.

Zerwał się potworny huragan i fale zniosły nas pod wysoki, porośnięty sosnami brzeg.

Tam przemoczeni do suchej nitki, przeczekaliśmy ulewę.

Nasza łódka była pełna wody, a to, co mieliśmy na sobie, można było wyżywać.

Deszcz był ciepły i niebawem śmieliśmy się z niego, patrząc jak zza chmur śmiało wychodzi słońce i suszy nas swymi gorącymi promieniami.

Wracaliśmy do domu szczęśliwi, jak z niezwyklej, niezapomnianej podróży.

Usiedliśmy potem przed domem i jedliśmy coś, co zrobiłeś naprędce – lubiłeś gotować.

Nigdy nie zapomnę twoich krewetek i zawsze będą mi się kojarzyć właśnie z tobą.

Były pyszne i chrupiące - wnet stały przed nami tylko puste, ogołocone do cna talerze.

Wieczorami graliśmy w karty i rozmawialiśmy do późnych godzin nocnych o tym, co może zdarzyć się w przyszłym roku, za miesiąc, w październiku lub grudniu, gdy przyjdą mrozy.

Nasze rozmowy nie miały końca.

Wiesz, zawsze będę je pamiętać – nigdy potem z nikim tak już nie rozmawiałem...

Z nikim nie miałem tylu wspólnych tematów, tylu wspólnych myśli, pomimo różnic, jakie nas dzieliły.

Nikommu tak nie zaufałem jak tobie, Pedro... Jak tobie.

Wtedy, w lipcu, wierzyłem i głęboko czułem, że kiedyś usiądziemy tak na starość, siwi, niewybaczalnie pomarszczeni i bezzębni, i przy wieczornej szklaneczce przedniego wina i smażonej rybie, będziemy do rana wspominać nasze szczęśliwe, bez trosk dzieciństwo i szaloną, zieloną młodość.

Nawet nie wiesz, jak wtenczas byłem tego pewien.

Znałeś mnie od zawsze i ja znałem cię od zawsze – takie przyjaźnie trwają całe życie.

Mają wszelkie podstawy, by trwać. Jeśli tylko pozostaniemy nadal sobą.

Jeśli po drodze nie odkryjemy, że istnieją inne nasze „ja”...

Widziałem strach w twoich oczach, kiedy powiedziałem ci, że przepłynę jezioro wszere tam i z powrotem, dla ciebie byłoby to nie do pomyślenia – bezmyślne prowokowanie losu.

Możliwe, nie przeczę.

Może wtedy właśnie to się zaczęło, może właśnie wtedy, tamtego lipca, kiedy mieliśmy po siedemnaście lat, po raz pierwszy poważnie zrozumiałem, że mam to we krwi, taki po prostu się urodziłem i napelnia mnie to dzikim, przyjemnym dreszczem.

Może pewne, wieczne napięcie i stan lekkiego podenerwowania był mi organicznie potrzebny do normalnego życia?

Takie chwile sprawiały, że czułem całym sobą, że istnieję i wiem jak chcę się czuć w przyszłości – nie zamierzam poznawać smaku nudy, rutyny i stagnacji, co byłaby mi trucizną.

I przepłynąłem to jezioro.

Patrzyłeś wówczas na mnie jak na ducha.

Jak na nedorzeczne przywidzenie.

- Ty masz naprawdę nie po kolei w głowie... - mówiłeś w kółko, kiedy szliśmy boso po trawie do domu – A co by było, gdybyś...

- Nie byłoby żadnego „gdyby” – odpowiedziałem ci wtedy. – Potrafię przepłynąć parę kilometrów, nie wiedziałeś?

Pewnie nie wiedział. Nie wiedział też wielu innych rzeczy...

Rzeczy, które miały dopiero nadejść i sprawić, że tamten przepiękny lipiec – nasz ostatni wspólny lipiec – pozostanie w naszej pamięci jako miłe wspomnienie czegoś, czego nie mieliśmy już nigdy razem powtórzyć...

Lato było wokół nas i zarówno w deszcz, jak i w skwarnej słońcu, czuliśmy się ze sobą doskonale, łowiąc ryby, pływając w jeziorze i jeżdżąc rowerami po lesie, pełnym jagód i grzybów.

Były wakacje i daleki świat, co pozostał w mieście.

Ostatnie wakacje mojej bez troski z nim – moim wiernym przyjacielem...

Już takich potem nie miałem, choć były równie piękne i niezapomniane – czegoś w nich zabrakło, coś zniknęło na zawsze i nigdy już tego nie poczułem.

Siedzieliśmy nie raz na pomoście i patrząc w zielonkawą toń, żartowaliśmy z naszych dziwacznych nauczycieli, kolegów szkolnych i wszystkich tych niepotrzebnych książek, które kazano nam w ciągu roku czytać ze zrozumieniem i wypiekami na twarzy.

Pamiętasz?

Za kilka dni miałeś wyjechać, kończył się już twój pobyt u mnie, wtedy umówiliśmy się na wrzesień, że przyjdę do ciebie i zrobisz kilka szkiców ołówkiem mojej twarzy.

Chciałem mieć je na ścianie w swoim pokoju.

Już wtedy nieźle ci to szło – mogłeś śmiało pozbyć się tej niepotrzebnej skromności.

We wrześniu miałeś mnie narysować. U ciebie, na poddaszu.

Cieszyła mnie ta myśl już w lipcu.

I kiedy odprowadziłem cię na pociąg, pamiętam, jak długo rozmawialiśmy o rzeczach, które będziemy razem robić, gdy zacznie się rok szkolny i na świecie pojawi się jesień.

Nie zapomnę twej uśmiechniętej twarzy, wyrazu jasnych, zadowolonych oczu.

Dla mnie pozostałeś zaklęty w tę przedziwną chwilę na zawsze i wszystko, co nastąpiło potem, wydało mi się jakimś niepojętym, zatrutym snem, który powinien przyśnić się, komu innemu...

Skończyło się lato, skończyły się wakacje.

Ze smutkiem spoglądałem na mój letni dom, który musiałem opuścić na wiele miesięcy, kiedy szedłem w ciszy na stację.

Wróciłem do miasta i natychmiast zadzwoniłem do ciebie.

Nie było cię w domu.

Byłeś gdzie indziej, w miejscu, w którym nie powinienes się nigdy znaleźć...

Twoja matka powiedziała mi, co się wydarzyło...

Poszedłem ją odwiedzić – chciałem poznać szczegóły.

Wtedy dowiedziałem się, że nie wszystko mi mówiłeś, że miałeś swoje tajemnice, swoje głęboko skrywane sekrety.

Mówiłeś wiele razy, że lubię kusić i prowokować los – tak, to prawda, zawsze taki byłem.

Lecz nie dałeś mi nawet przez chwilę odczuć, że i ty masz podobną naturę, choć pewnie chciałbyś, żeby było inaczej. Bałeś się, by coś lub ktoś nie wyzwoliło tego w tobie, bo to byłby spacer po bardzo cienkim lodzie. Nie znałeś się aż tak dobrze, by wiedzieć, co on oznacza. Przeliczyłeś się, bo uwierzyłeś, że jesteś w stanie z dnia na dzień stać się szaleńcem – do tego jednak dochodzi się latami lub jest się już w chwili narodzin.

Jeszcze wtedy, w lipcu, ryzyko było dla ciebie wsadzeniem ręki w ogień.

I w pewnym sensie miałeś rację.

To nie było dla ciebie – powinienes nadal stać na brzegu, podczas, gdy tacy jak ja, urodzeni szaleńcy, będą przepływać jezioro tam i z powrotem, śmiejąc się w nos trującym lękiem i zdrowemu rozsądkowi, co bywa niekiedy tylko kulą u nogi.

Twoja matka zachorowała przez ciebie na serce, mówiła ci?

Ten jeden raz wystarczył – jeden fałszywy ruch...

Może byłeś przystojny, wysoki i miałeś wrodzony urok osobisty, lecz czy kiedykolwiek pomyślałeś, że może się nagle okazać, że to za mało? Może nie tego od ciebie oczekiwano?

Nie po to spędzano z tobą czas na długich, jak nasze, rozmowach i spacerach za rękę po pachnącym i fantastycznie urokliwym parku, miejscu spotkań zakochanych?

Zakochanych...

Oszukanych...

Dlaczego zamiast rysować moje szkice, znalazłeś się w szpitalu?

Czy ty wiesz, co zrobiłeś swojej matce? Ona umierała razem z tobą. Umierała żyjąc...

Czemu byłeś taki słaby? Jak mogłeś dać się tak podejść?

Straciłeś poczucie rzeczywistości.

Wystarczył jeden miesiąc, jeden fatalny sierpień, który mogłeś spędzić ze mną nad jeziorem, a który miął ci na miłości...

Miłości???

Na zadurzeniu i otepiającej zmysły fascynacji, co odebrała ci resztki godności...

Pamiętam, co mówiła twoja matka: „On ją znał już wcześniej, znał ją od zimy, kiedy to pierwszy raz przyprowadził ją do domu. Taka pusta lalka. Beznadziejnie pusta lalka... Gdybym tylko wiedziała, że to się tak skończy, wywaliłabym ją na zbity pysk... Zabroniłabym mu spotykać się z nią i on by posłuchał. Jeszcze zimą pewnie tak, ale potem? Stracił głowę, mówił mi, że to jego pierwsza dziewczyna, pierwsza miłość. To straszne... Pytałam o nią znajomych. Pytałam kogokolwiek, bo czułam, że to się może źle skończyć. Ciekawe rzeczy o niej mówiono. Miała wielu mężczyzn, odkąd skończyła czternaście lat...”

Stary, dlaczego chciałeś się otruć przez kogoś takiego?

Szukając w rynsztoku, nie mogłeś znaleźć nic lepszego.

Lecz czemu właśnie tam zajrzałeś?

Pamiętasz, Pedro?

Tylko ja cię odwiedzałem w szpitalu, tylko ja i twoja biedna matka...
Byliśmy z tobą przez wszystkie te dni.
Twoja miłość nie pojawiła się ani razu.
Nie obchodziło jej, czy żyjesz, czy nie.
Gdzie byłeś przez te dni, kiedy leżałeś przykuty do łóżka w objęciach śmierci klinicznej?
Co wtedy widziałeś? Co zostało ci ukazane? Jak to jest tam, w tym długim tunelu?
Jest światło, co wzywa czułym gestem, czy też panuje tylko ciemność – kraina samobójców?
A może po prostu nie zobaczyłeś tam nic...

Czy pamiętasz, że jedynymi przyjaciółmi, jakich miałeś w te dni, byli schizofrenicy paranoidalni i ludzie obłąkani, którzy pomagali ci chodzić do toalety i trzymali cię za ręce na korytarzu, byś nie upadł, jednocześnie słuchając swych głosów?
Nawet tam podano ci rękę – skłutą setkami zastrzyków z Haloperidolu lub Fenactilu.
Nie nazwałbym ich nigdy wariatami...
Może jest w nich coś, czego nie widać gołym okiem, a co bliskie jest idealnemu człowieczeństwu, co ma szansę sprawdzić się i potwierdzić swe istnienie w sytuacjach opresyjnych i ekstremalnych?
Może tylko my – ludzie normalni i święci w swym nędznym mniemaniu, nie dostrzegamy całego barwnego kolorytu ich zachowań i nagiej w swym człowieczym kształcie, szczerości?
Oni byli z tobą, kiedy nie było godzin odwiedzin.
Wątpię, czy to pamiętasz – byłeś przez wiele dni w innym świecie.

Potem zacząłeś wracać, powoli, z niedowierzaniem.
Razem z twoją matką przychodziliśmy codziennie – na zewnątrz był skwarny, złoty wrzesień.
Wracałeś.
Nie chcę wiedzieć, co miałeś wtedy w sercu – ty człowiek, który wrócił z zaświatów.
Byłeś wypalony.
Widziałem to, lecz milczałem, by nie było ci jeszcze ciężiej.
Opowiadałem dowcipy, jakieś stare historie, wspominałem nasze wędkowanie.
Patrzyłeś na mnie jak na zjawę.
Słuchałeś mych słów jak języka Majów lub starożytnych Etrusków...
Chodziliśmy po korytarzu, gdzie pod ścianami kołysali się ludzie dotknięci obłędem.
Byłeś tam i ja razem z tobą. Ten jeden raz odbyłem tę podróż.
I ty odbyłeś ją ten jeden raz...
Kiedy wróciłeś, nic nie było już tym, czym było kiedyś...

Pewnego wieczora zadzwoniłem do ciebie, by dowiedzieć się, co słyszeć.
Powiedziałeś, że nic specjalnego, więc po kilkunastu minutach przyszedłem i usiedliśmy.
Na twojej kanapie, obok paliła się lampka.
Wyglądało na to, że z trudem odnajdujesz spokój i samego siebie.
Pamiętałeś lipiec...
To było tak niedawno – było słońce i deszcz, jezioro i las, i beztroska, co przepadła nagle...
I my, przyjaciele od niepamiętnych czasów.
Lecz w twych oczach nie było już tamtej radości, nie było nawet tego lęku, który czułeś, gdy powiedziałem, że przepłynę jezioro i wrócę żywy i pewnie tak już pozostanie.
Miałeś nowe oczy...

Patrzyłem na ściany, na meble i sufit, byle nie spoglądać ci w twarz!
Jak to wytłumaczyć, jak pojąć, że w tamtej chwili wiedziałem, że to nie koniec?
Twój uśmiech był cierpki i bolesny...
Twój pokój dusił mnie nieznany jadem.
Rozmawialiśmy.
Wierzyłem, że w twojej świadomości każde moje słowo odbija się wyraźnym echem.
Wierzyłem. Słuchałeś mnie, lecz nie wysłuchałeś...

Któregoś wieczora twoja matka zadzwoniła do mnie i łamiącym się głosem opowiedziała mi, co się stało.
Uciekłeś z domu...
Uciekłeś z jakąś dziewczyną, którą poznałeś tydzień wcześniej.
Przepadłeś...
Zniknąłeś, nie martwiąc się o konsekwencje.
Rozmawiając z twoją matką nie mogłem powiedzieć jej wszystkiego, co wiedziałem.
Chciałem zaoszczędzić jej bólu – wierzyłem, że się w końcu opamiętasz.
Pamiętasz, o co mnie wtedy poprosiłeś?

Pamiętasz, Pedro?

O klucze, o klucze do mego letniego domu.
Chciałeś tam być, dokąd nie odkryjesz, co dalej począć z własnym życiem.
Szedłeś po omacku, lecz nie było już wokół ciebie braci-schizofreników, którzy podaliby ci rękę w chwili zwątpienia. Pozostałeś sam na sam ze swoją decyzją.
Myślałeś, że któryś poranek przyniesie odpowiedź.
Byłeś daleko, bardzo daleko – czasem z takiej podróży nie ma już powrotu.
Szukano cię kilka dni, twoje imię pojawiało się wówczas na ustach wielu ludzi, jednak sam się odnalazłeś – zabrakło w tym wszystkim żaru.
Dziś pewnie nawet nie pamiętasz, jak się nazywała...
Wtedy, przez chwilę, był to twój, jedyny świat i twoje tymczasowe jutro.
Przez chwilę, co miała stać się czasem.

Przyszedłem znów na twoje poddasze i usiedliśmy na twojej kanapie, jakbyś nigdy nie uciekał i nigdy nie opuszczał tego zadymionego miasta.

- Wiesz, ja naprawdę nie wiem, co dalej... - powiedziałeś wtedy i patrząc na ciebie, wiedziałem, że jest tak jak mówisz.

Nie wiedziałeś również później...

Nie wiadomo, kiedy minęło kilka lat i poszliśmy na studia, które jakoś bezboleśnie i niezauważalnie ukończyliśmy. Nie mieliśmy wówczas zbyt wiele czasu na spotkania i długie, męskie rozmowy, przynajmniej przez pierwsze dwa lata, kiedy nie chcieliśmy stracić roku przez własną głupotę i nieróbstwo. Potem było już lepiej i widywaliśmy się od czasu do czasu, aby pogadać o tym lub owym.

Wtedy zmieniłeś się – stałeś się bardzo oficjalny, niemile sztywny i odległy z całym tym absurdalnym żargonem rodem z jakiegoś wiejskiego urzędu czy poczekalni u pana notariusza, co każe mówić do siebie „Panie mecenasie, jakaś pani przyszła...”

Przyglądałem ci się z boku i myślałem, co się stało przez te lata.

Przecież nie mogłeś odbić tak daleko od tego, kim i czym byliśmy kiedyś?

Byłeś jednak już na półmetku...

Życie jest dzikie, wiesz?

Życie jest surfingiem po falach, których nie znasz – czasem mogą okazać się za wysokie.

Życie jest pułapką.

Był taki dzień, którego nie powinno nigdy być.

Jednak się wydarzył – przyszedł jak złodziej, podstępnie i po cichu.

Przyszedł do mnie. Kiedy myślałem zupełnie o czym innym.

Pamiętasz?

Przypominasz sobie taki wtorek, kiedy na mojej drodze pojawiła się nagle przeszkoda?

Nadal byliśmy młodzi, nadal życie szumiało dookoła.

Rozmawialiśmy na różne tematy, udając, że wciąż jest między nami ta sama więź.

Udając...

Jednak czas nie lubi dobrych powtórek...

Chętnie zakpi jakby wszystko kołem się toczyło.

Życie w całej swej przewrotności lubi czasem podstawić nogę.

Miałem wtedy wypadek.

Przechodziłem przez ulicę – przez naszą ulicę, przez którą przechodziliśmy tysiące razy w naszym życiu we wszystkich jego okresach.

Złe godziny istnieją...

To nie ciemna noc – pora upiorów, to nie jesienna zawierucha, gdzie dmucha potworny wiatr z piekieł, zdolny urwać w ciągu minuty dziesiątki głów.

To zwykłe dni uderzają najsilniej.

I ja miałem mój dzień piekła.

Kiedy się ocknąłem, wnet zauważyłem, że leżę w szpitalu, podłączony do kroplówki i wokół mnie jest jeszcze więcej podobnych do mnie obolałych nieszczęśników.

Poczułem ból, co wydał mi się niezwykle uogólniony i dotykający każdej części mego ciała, które teraz dopiero poczułem po latach posiadania.

Gips, którym oblano me połamane członki rozwił wątpliwości – było naprawdę źle...

Leżałem i obok mnie mijał czas, odmierzany kolejnymi wizytami lekarzy i mej rodziny – ojca i matki, przeróżnych zabiegów, konsultacji i na siłę zjadanych posiłków, co kwitły całymi godzinami pod moim nosem, na małym, metalowym stoliku.

Patrzyłem w sufit i cieszyłem się – poznałem nowy smak tego znanego uczucia.

Cieszyłem się, że żyję i mogę dalej kontynuować mą przedziwną podróż zwaną życiem, które może mnie jeszcze nie jednym zaskoczyć w chwili, której nijak nie przewidzę, i dać milion nowych powodów do szczęścia, którego kształtu nie byłem w stanie przewidzieć.

Kochałem je. Zawsze kochałem życie. Wiedziałem, że to wielkie pudło pełne niespodzianek.

I chciałem tam zaglądać po kres mych dni.

Leżałem często i myślałem, czemu Pedro nigdy nie przychodził.

Pedro? Tak, to było jego imię. Mego niezapomnianego przyjaciela...

Nie odwiedziłeś mnie ani razu.

Zapomniałeś o mnie, tak jak zapomina się o zeszłorocznym śniegu...

W twoim świecie nie było już dla mnie miejsca, prawda?

Nigdy potem nie zadzwoniłeś, nigdy ja nie zadzwoniłem do ciebie.

Nagle byłem ja i on – już nie ty, przyjacielu, lecz on...

Bez słów wtenczas pojąłem, i zapewne ty również, że to koniec, że coś między nami skończyło się na zawsze, choć obok nie padł nawet jeden wystrzał...

Nie trzeba było kłótni, awantury ani bójki.
Nie trzeba było zdrady ani nieoddanych na czas pieniędzy.
Nie trzeba było kobiety, co potrafi skutecznie poróżnić mężczyzn.
Po prostu wszystko ma swój kres i nie wolno o tym nigdy zapominać.
Jak ognisko zapalone przez skautów wieczorową porą, które nie doczeka świtu.
Jak woda, co wsiąka w ziemię wcześniej czy później.
Może kojarzyłem ci się z czymś, czego nie chciałeś pamiętać?
Może chciałeś stworzyć sobie nowy, lepszy świat bez starych, morderczych wspomnień?
Może nie było tam miejsca dla mnie – świadka tego, przez co wtedy przechodziłeś?

Odszedłem.
Odsunąłem się.
Nigdy już o mnie nie usłyszałeś.
Zapomniałem ja, zapomniałeś ty.

I na nic nie zdało się parę minut drogi, jakie mieliśmy nadal do swoich domów.
Okazało się, że to za daleko.
Mijały lata, mijało ich tak wiele, że zdążyliśmy obaj osiwieć, na naszych twarzach pojawiło się tysiące głębokich i przygnębiających zmarszczek, a stan naszego niegdyś idealnego uzębienia wołał o pomstę do nieba.
Po drodze wielu naszych kolegów i koleżanek z lat szkolnych odeszło ku Lepszemu Życiu, wielu zniknęło gdzieś bezpowrotnie w szalonym, pędzącym dziko naprzód świecie, inni żyli dalej, jakby święta miały trwać cały rok.

Pamiętasz, Pedro?

Był taki dzień, jakich tysiące.
Taki zwykły, majowy dzień, kiedy było tak pięknie, jak wtedy w lipcu, u mnie nad jeziorem, gdy mieliśmy po siedemnaście lat.
Pamiętasz to?

Spotkaliśmy się przypadkiem w sklepie...

Przypadkiem.
Udałeś, że mnie nie poznajesz – wyczułem to w mig – znałem cię zbyt dobrze!
Czułeś na sobie mój świdrujący wzrok, którego specjalnie nie odwracałem.
Pomimo twej ignorancji patrzyłem na ciebie długo i natrętnie, z zainteresowaniem.
Byłem ciekaw ciebie po tylu latach, po tych wszystkich latach, kiedy mieszkaliśmy obok siebie i nie potrafiliśmy znaleźć chwili czasu, by się spotkać, odrobiny pokory, by się do siebie przemóc i podać sobie rękę, której nikt z nas nigdy nie cofnął i nie zabrał w odruchu gniewu czy chęci zemsty.
Czegoś między nami zabrakło, Pedro, choć nie raz widziałem światła w twoim domu – widziałem ciebie tam, jak wtedy, w lipcu, kiedy smażyłeś mi krewetki.
Myślałem, co robisz, jak się czujesz, czy twoja matka nadal żyje.
Myślałem o tobie często.
Przez wzgląd na to, co razem przeżyliśmy i odległość, która nas prawie nie dzieliła.
I spotkaliśmy się nagle, nie w lipcu, lecz w maju, choć mogliśmy być wtedy gdzie indziej.
Wyszedłem przed sklep i czekałem.

Coś mówiło mi, że podejdziesz.

Nie pomyliłem się – obok mnie stał twój rower.

Spojrzałem na ciebie i w twoich oczach zobaczyłem coś, czego nigdy nie zapomniałem...

Ty patrzyłeś na mnie i mówiłeś tak dużo, jak za starych, dobrych czasów.

Powiedziałem ci wtedy:

- Po drodze minęło tyle dni, wiele z nich było dobrych, wiele złych, lecz jeśli człowiek odwraca się od człowieka przez durne, małe i nic nieznaczące głupoty, jest nikim! Nie znaczy nic i nie można go traktować jak człowieka, który szanuje innych i chce być szanowanym w całej swej subtelności i odrębności. Nie można gubić się w drobiazgach, wtedy miałyby się jedynie samych wrogów, bo w każdym można na siłę znaleźć coś złego, z każdym można zadrzeć o cokolwiek – o złe spojrzenie, słowo czy gest. Nie wolno kierować się fałszywą dumą... Tyle po drodze było rzeczy dziwnych i nie wiem nadal...

- Ja też nie wiem – rzekł Pedro – i już nie chcę wiedzieć. Dziś jesteśmy nowymi ludźmi, starszymi ludźmi. Minęło tyle lat. Możemy spojrzeć na wszystko z pewnego dystansu. Pomyśleć, co w życiu było ważne, a co nie zasługiwało na nic. Teraz, po latach, łatwiej jest to pojąć...

- Dlaczego mnie wtedy nie odwiedziłeś? Ja byłem z tobą prawie każdego dnia – spytałem.

- Ty wiesz, ty to wiesz... - powiedział tak, że zrobiło mi się zimno.

- A gdybym nie przeżył, nie miałbyś wyrzutów sumienia, że do mnie nie przyszedłeś?

- Wiedziałem, że dasz sobie radę – powiedział mocno.

- Skąd? Jak to mogłeś wiedzieć?

- Po prostu to wiedziałem, byłem już bardzo daleko od ziemi i tego wszystkiego, co tu widzisz... - rzekł filozoficznie.

- Tylko tyle?

- To wystarczy, by wiedzieć.

- A potem? Zerwaliśmy kontakty...

- Może obaj byliśmy zawsze zbyt wrażliwi, zbyt uczuciowi, choć ty udawałeś szalonego ryzykanta, który nie zna strachu. Ja spróbowałem przez chwilę być tobą i skończyło się to katastrofą... Nie można nie być sobą i nie można być zbyt wrażliwym. To zła mieszanka.

- Nie odpowiedziałeś mi.

- Chciałem zacząć od nowa, wśród nowych twarzy i nowych spraw, który pozwoliłyby mi zapomnieć o przeszłości. Musiałem to zrobić, aby raz na zawsze wymazać z pamięci wszystko, co zatruwało mnie od środka. To była taka moja terapia. Odnalazłem się w tym świecie. Można odnaleźć się wszędzie, gdzie jest nam dobrze i nie ma złych wspomnień. Ja cię długo pamiętałem, pamiętałem cię z czasów, kiedy umierałem...

- Dlatego?

- Dlatego. Przypominałeś mi zbyt wiele. Byłeś świadkiem tego, w co wdepnąłem przez własną głupotę. Przedłużałeś to we mnie. Musiałem usunąć cię z mego świata. Dla siebie i aby znów poczuć się człowiekiem szczęśliwym i wolnym.

- Rozumiem.

- Jesteś tego pewien?

- Tak. Od lat chciałem się z tobą spotkać i zapomnieć o wszystkim.

- Ja też. O wszystkim. Z wyjątkiem tych dobrych wspomnień i tamtych miejsc.

- Tamtych miejsc?

- Twego domu nad jeziorem. Zabierzesz mnie tam jeszcze kiedyś?

- Pamiętałeś?

- Jak mogłeś w to wątpić!

- I ja to widzę ciągle przed oczyma, jakbyśmy znów mieli po siedemnaście lat. Nasze spotkania u ciebie, nasze rozmowy do świtu, naszą wiarę w dobry, kochający świat, który nas nigdy nie wykorzysta. Te

wspomnienia nie odejdą nigdy, nigdy... Są nami zaklętymi w czasie. A więc pamiętałeś, pamiętałeś nas z tamtych cudownych czasów...

- Tak. Zawsze.

- To niesamowite!

- Więc jak? Mogę na to liczyć? Na to, że znów będę gościem w twoim domu?

- Zabiorę cię, kiedy zechcesz, bodaj jutro, Pedro, bodaj jutro... - rzekłem wtedy do ciebie i obaj zrozumieliśmy, że czas się cofnął i tu, na ulicy, w zwykły, majowy dzień, jesteśmy znów razem, my przyjaciele ze szkoły, my ludzie omylni.

Rozmawialiśmy jeszcze długo. Potem poszliśmy do parku i usiedliśmy na ławce.

Kiedy ją opuszczaliśmy, była już noc - przepiękna i ciepła – taka, jaka zdarza się tylko w maju, gdy jest się szczęśliwym raz jeszcze.

Byliśmy znów młodzi i powietrze wokół nas było młodsze o kilkadziesiąt lat.

Mówiłeś mi o żonie, dzieciach, o swoim nowym, srebrnym samochodzie i o książce, którą pisziesz w wielkich trudach od marca, bez większych szans na wydanie.

Jakże byłem szczęśliwy, że mi to mówiłeś, że mi to mówiłeś tak lekko, tak naturalnie jak za starych czasów, kiedy nie znaliśmy, co to ból i porażka...

Nawet nie wiesz, ile mi wtedy dałeś, stary koniu.

Nawet nie wiesz, jak długo czekałem na tę chwilę, by znów z tobą pogadać.

By znów usłyszeć twój głos i zobaczyć twoje oczy, a w nich to, kim byliśmy w młodości.

Pamiętasz, Pedro?

Pamiętasz moje jezioro i te wszystkie, wspaniałe ryby, jakie w nim łowiliśmy?

Nasze marzenia z tamtych lat?

Gwiazdy, co spadały co noc?

Ja twoje krewetki pamiętam do dziś!

Wiesz, o czym mówię?

Wiesz, o czym teraz mówię?

Wiesz...

Cieszysz się?

Niedługo tam jedziemy!

Ty i ja, jak za starych, dobrych czasów! Niech pada deszcz, niech świeci słońce, niech zaszumią nam raz jeszcze sosny naszych bez trosk lat! Jakby znów wróciła młodość, co nadal w nas się tli, nieprawdaż? Bo czujemy ją w sobie, czujemy ją bardzo! Ona nigdy nie odeszła, nigdy nas nie opuściła, może czasami tylko popadała w lekki, nerwowy sen...

Pakuj się i szykuj do drogi – zabieram cię tam, zabieram cię nad nasze jezioro, Pedro!

Ty stary koniu.

3 marca 2009

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 22.06.2012 18:39

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.